

Zamach na fantastykę

29 stycznia 2023

Ostatnie lata przyniosły fanom gatunku literackiego fantasy prawdziwą obfitość ekranizacji kultowych pozycji, która teoretycznie powinna nas cieszyć, a tymczasem z roku na rok rośnie napięcie i niezadowolenie.

Po ogromnych sukcesach ekranizacji „Władcy Pierścieni” JRR Tolkiena przez Petera Jacksona mieliśmy wspaniałą ekranizację „Opowieści z Narnii” C.S. Lewisa, następnie tenże Jackson na warsztat wziął „Hobbita”. I tu już pojawiły się pierwsze kontrowersje, ale, bądź co bądź, seria obroniła się.

Kolejnym, ogromnym sukcesem stała się ekranizacja „Pieśni lodu i ognia” George’a Martina, którą HBO wyprodukowało pod tytułem pierwszego tomu serii, czyli „Gra o tron”. Świat znowu oszalał na punkcie fantasy, sprzedaż książek wzrosła niesamowicie, a serial, mimo, że z każdym sezonem oddalał się od tekstu źródłowego, to jednak zachował klimat świata i postaci wykreowanych przez autora. Fani gatunku rozochoceni doskonałymi produkcjami zaczęli oczekiwać więcej, a fantastyka już na stałe zajęła mocną pozycję w kulturze masowej.

No i tu pojawiają się schody. Branża filmowa to ogromny rynek, który rządzi się swoimi prawami. Żeby mogły powstawać zadowalające, wysokobudżetowe produkcje, sam produkt musi być dostosowany do potrzeb tego rynku, do wymagań masowego odbiorcy, który zmienił się przez ostatnie dekady. Pracowano nad tym mozolnie – z czytelników, słuchaczy, widzów – miłośników kultury staliśmy się jej konsumentami. No i taki gatunek jak fantastyka zwyczajnie z tym nie licuje, ciężko to dopasować do współczesnych ram, mimo że to jedna z najmłodszych odmian beletrystyki – przyjmuje się, że początkiem gatunku są dzieła JRR Tolkiena czyli początek XX wieku.

Mimo, że gatunek literacki świeży, to jednak jego istotą jest oparcie się o to, co stare. Tolkien bowiem, jako pisarz i językoznawca zajmujący się przede wszystkim językami martwymi, takimi jak staroangielski czy też staro nordyckie, był też na wskroś angielskim fanatykiem, który ubolewał nad tym, że jego ojczyzna nie ma tak rozbudowanej mitologii, jak inne starożytny ludy. Owszem, wyspiarze (Celtowie) mieli swoje przekazy i legendy, nie były to jednak zbiory tak obfite i spójne, jak np. mitologia helleńska. Dlatego autor postanowił taką mitologię stworzyć – napisać. U zarania zatem cały gatunek zakotwiczony jest w tym, co stare. Jasne jest więc, że trzeba tę twórczość przedstawić w odpowiedni sposób, z zachowaniem pewnych prawideł (język, kreacja świata itd.). Tak to też robi przez sto lat wielu kontynuatorów piszących fantastykę, która stała się jednym z najbardziej popularnych gatunków na świecie.

Doczekaliśmy się również wyżej wspomnianych ekranizacji, które zachowują te prawidła. Mało tego, są świetnym, współczesnym nośnikiem wartości zawartych w dziełach fantasy. Na kartach tych powieści znajdujemy bowiem nie tylko przygodę, smoki, elfy, krasnoludy, zamki etc., ale także wartości ukazane jako odwieczna walka dobra ze złem. Jest to widoczne zwłaszcza u Tolkiena, który jako głęboko wierzący rzymski katolik ogromną wagę przywiązywał do tego, by granica między dobrem a złem była wyraźna z prostej przyczyny – swoje książki pisał z myślą o dzieciach. Jego twórczość to cudowny przykład klasycznego pojmowania dobra, piękna i prawdy.

Fantastyka bazuje bezpośrednio na legendach, opowieściach, przekazach ludycznych oraz starych językach. Stąd świat magiczny „wpasowany” jest w mniej więcej średniowieczne realia – zamki, uzbrojenie, techniki walki, czy ustroje polityczne. Stąd to wszystko jest nam tak bliskie. Stąd w końcu wszelkie próby „unowocześnienia” czy odniesienia do współczesności wykonane „na grandę”, prostacko nie przejdą u fanów gatunku, jak np. w science-fiction. To proste – tworząc wizję

przyszłości, można sobie pozwolić na wszystko, a fantasy to z założenia taka urozmaicona o magię przeszłość, i my to wiemy, czujemy wręcz intuicyjnie od dziecka. Mój siedmioletni syn, któremu od kilku lat czytywałem Hobbita do poduszki, a teraz ogląda ze mną ekranizacje Jacksona, naturalnie pyta mnie czasem: – Tato, a kiedy żyły hobbity lub smoki? Gdzie leży Gondor?

Wywrócenie gatunku

Fani fantastyki, do których zaliczam się od ponad dwudziestu lat, to specyficzny „target” marketingowy w szeroko pojętej popkulturze. Lubujemy się w formach tradycyjnych, przywiązujemy się do naszych ukochanych światów/universów, bohaterów (no chyba, że ktoś jest fanem Martina, to wtedy nie) oraz ich charakterów. Pod tym względem jesteśmy trochę jak hobbiti tolkienowscy – kochamy dobrze „uprawianą opowieść”, a nasze ulubione dzieła traktujemy niemal jak miejsca, do których lubimy wracać wiedząc, że wszystko tu jest po staremu. Jeśli natomiast są wprowadzane jakieś zmiany to powinny one wynikać wprost z historii.

My się po prostu identyfikujemy z ulubionymi bohaterami oraz wykreowanymi światami. Dlatego też jesteśmy problematycznym „targetem” dla współczesnych wytwórni i platform silących się na ekranizacje dzieł literackich. Współczesne „kino”, zwłaszcza to serwowane nam w ramach popularnych platform streamingowych, jest nastawione na szybki zachwyty i zysk. Wszystko podawane jest w formie „klipowej”, skrótowej. Produkcje te nieustannie bombardują nas zmieniającym się obrazem w chwilach dynamicznych, a momenty, które powinny opowiadać historię poprzez dialogi czy ukazanie świata, zdominowane są przez infantylne rozmowy i przede wszystkim dywersyfikację współczesnych prądów ideologicznych. Twórcy przez fabułę przeprowadzają widza właściwie za rękę, nie obarczając zawirowaniami zmuszającymi do refleksji, za to pilnują, by w każdej niemal scenie było odpowiednio wiele ras,

płci, silnych kobiet, wątków LGBTXYZ oraz współczesnej problematyki. Zarówno kreacja świata, jak i postaci, ujęte są tam bardzo płytko i powierzchownie. Widać zatem wyraźnie, że to wszystko z miłośnikami fantasy weszło jakiś czas temu na kurs kolizyjny i zderzenie było nieuchronne. Z fanami uniwersów komiksowych czy science-fiction też był zgryz, ale ostatecznie wiele z tych pozycji przeniesionych na „duży” ekran i podanych w formie „uproszczonej” całkiem nieźle się broni jako rozrywka.

Doszło do tego, że fani fantastyki stali się solą w oku współczesnych twórców filmowo-serialowych. Wyjątek stanowi tu w pewnym stopniu Gra o tron, ponieważ już same książki Martina obfitują w bohaterów dynamicznych, niejednoznacznych, silne, pierwszoplanowe postaci kobiece, zaciera się tam granica między dobrem a złem, no i wplecione są w sposób nienachalny wątki odmienności seksualnych. Niby materiał źródłowy idealny do stworzenia współczesnego obrazka fantasy, a jednak, gdy tylko twórcy zbyt oddalali się od fabuły to fandom (społeczność miłośników) natychmiast zaczął dawać wyrazy niezadowolenia.

Jednak te nieznośne nerdy (amerykańskie określenie fanów fantasy i gier RPG) są wiecznie niezadowolone. Uporczywie oczekują trzymania się tak blisko książek, jak to możliwe i dostarczania przede wszystkim dobrze, wiernie opowiedzianej historii. Oczekiwania zostały wyśrubowane do granic możliwości przez genialną adaptację „Władcy Pierścieni” w reżyserii Petera Jacksona, która przeszło dwadzieścia lat temu stała się absolutnym fenomenem popkultury, który równocześnie zadowolił niemal cały fandom J.R.R. Tolkiena. Tylko, że twórcy tegoż dzieła załapali się niejako na „ostatnią chwilę” normalnego kina. Sam reżyser spytany kilka lat temu o to, czy jego ekranizacja przeszłaby dziś spełniając oczekiwania hollywoodzkich wytwórni odpowiedział z całą pewnością: nie!

Jednak popkultura nie znosi próżni w obszarach, które już kiedyś zostały wypełnione. Powstała w niej nisza pt. filmy /

seriale fantasy, które muszą być epickimi, widowiskowymi produkcjami. Udało się z Władcą Pierścieni, Opowieściami z Narnii, Grą o tron, czy w jakimś stopniu z Hobbitem, ale co dalej? Rozgrzana widownia czekała, a w tym czasie standardy współczesnego kina zmieniały się w zastraszającym tempie.

Problemem stał się ten nieszczęsny nerd – miłośnik dobrego fantasy, który ma swoje oczekiwania – lubi „stare”, jest jak ten hobbit. Paradoksalnie, w gatunku, który pełen jest smoków, magii, elfów itd., czyli pomyśleć by można, że sam w sobie ociera się o kicz, miłośnik fantasy jest odporny na tandetę i miałkość przekazu. Trzeba zatem tę całą fantastykę dostosować do współczesności, spłyścić na potrzeby nowego widza, którego tworzą, słowem – wyrócić.

A więc wojna!

Tu do gry wkraczają ogromne platformy streamingowe z wielkimi budżetami i swoimi planami. Po sukcesie HBO każda z nich chce mieć swoją Grę o tron czyli epicki serial fantasy! Każda z tych platform też pracuje nad urabianiem widza, więc zadania są dwa:

- również dobrze zarobić na fantastyce;
- rozprawić się z tym gatunkiem raz na zawsze, dopasowując go do współczesnych matryc ideowych oraz widza-konsumenta.

Prawda, że to gotowy przepis na wojnę z fanami? Niestety, budżety platform pozwoliły sięgnąć po pozycje kultowe, czyli „Wiedźmina” Andrzeja Sapkowskiego oraz ponownie po „Władcę Pierścieni” JRR Tolkiena, a właściwie po inną część tego uniwersum, ale o tym za chwilę. Zapowiedzi były szumne. Jeff Bezos w początkowej fazie osobiście zaangażowany był w „dmuchanie balonika” serialu „Pierścienie Władzy” i przyznać muszę, że byłem pełen nadziei. Zatrudniono wybitnego tolkienistę, specjalistów, którzy pracowali z Peterem Jacksonem, za ćwierć miliona dolarów odkupiono od rodziny

Tolkienów (jeszcze za życia syna, Christophera Tolkiena) prawa do „Władcy Pierścieni” – no cud, miód.

Podobnie wystartowali w Netflix – Krzysztof Bagiński jako jeden z producentów odpowiedzialny za efekty, spory budżet, Henry Cavill jako tytułowy wiedźmin Gerald, no i wisienka na torcie, czyli sam Andrzej Sapkowski czuwający nad wszystkim. No czegoż chcieć więcej? Niestety, cały zamysł musiał nieuchronnie poddać się prawu Murphy’ego, bowiem możliwości pójścia czegoś źle było aż nadto! Twarzami tej katastrofy, która miała nastąpić, stali się scenarzyści oraz tzw. showrunnerzy obydwu produkcji. Przyznać muszę, że do tej pory nie wiedziałem, co to za „zwierz” ten showrunner, ale wyjaśniam czytelnikowi, że to taka krzyżówka producenta wykonawczego z rzecznikiem prasowym projektu.

Lauren S. Hissrich to szołtranerka „Netflixowego produktu wiedźminopodobnego”, natomiast Patrick McKay i John D. Payne odpowiedzialni są za lwią część scenariusza i „szołtranerstwo” we wstrząsającym Rings Of Power. To właśnie oni poszli na tę wojnę z fanami w pierwszych szeregach. Przy okazji każdej konferencji prasowej, wywiadu, czy choćby krótkiej wypowiedzi zawsze podkreślali, jak bardzo wierni są materiałowi źródłowemu no i cóż... Za każdym razem kłamali!

To, co zrobiono z w obydwu serialach, to dosłownie gwałt na tym materiale źródłowym! Wielu komentatorów dopatruje się tu jakiegoś nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, nieudolności lub niezrozumienia twórców, jakiegoś fatalnego przypadku. Ja uważam, że tu wszystko, albo większość jest absolutnie celowa! Nie inwestuje się tak ogromnych pieniędzy, pozostawiając pracę nad tym amatorom, by wyjść założenia, że jakoś to będzie. Nie, moim zdaniem jest to właśnie wojna z fanami gatunku i widać to choćby w narracji twórców seriali, którzy w odpowiedzi na krytykę od razu winą obarczyli właśnie miłośników fantasy.

Kiedy zaczęły wychodzić pierwsze przecieki, zdjęcia i rozmowy z twórcami, jasnym stawało się, że tam nie trwają prace nad

wiernymi ekranizacjami, tylko nad naginaniem fabuły książek do współczesnych wymogów platform streamingowych. Gdy ukazały się zwiastuny, nikt z nas nie miał już wątpliwości, co tam się wyczynia, więc posypała się krytyka. W odpowiedzi na nią szołtranerzy natychmiast wskazali na nas jako tych wstrętnych nerdów, którzy nie rozumieją współczesnego świata, są rasistami, homofobami, najpewniej białymi facetami w śmierdzących swetrach, którzy biją kobiety i nienawidzą każdą odmienność.

Gdy wskazywano, że nie o to chodzi – chcemy po prostu wiernych, dobrze opowiedzianych adaptacji, to w odpowiedzi, podczas dużej konferencji prasowej z aktorami Pierścieni Władzy dowiedzieliśmy się, że „dzięki tym wspaniałym zabiegom, jakich dokonali scenarzyści powstała niesamowita historia, wierna materiałowi źródłowemu, której jednak Tolkien nigdy nie napisał – taka, która ukazuje wszystkie problemy współczesnego świata, razem z jego bogactwem różnorodności”. Z grubsza to samo wyjaśniała nam Hissrich – „Wiedźmin” ma stanowić odbicie dzisiejszego świata! Czego nie rozumiecie durni fani!? A więc wojna...

Analiza upadku

Nie będę szczegółowo omawiać tych produkcji, bo zwyczajnie nie ma to sensu. Zrobiłem to sobie dla Państwa i obejrzałem je – no dobra, tak uczciwie – od deski do deski, to dwa sezony „Wiedźmina”, Pierścienie władzy bardziej po łebkach, ponieważ natłok zwyczajnego debilizmu dosłownie wywołuje chęć rwania włosów z głowy i krzyku rozpacz. Nie obejrzałem jeszcze „Blood Origin”, ale zrobił to kolega Przemysław Piasta i stwierdził, że na trzeźwo się nie da, a ja mu wierzę, więc może kiedyś, po głębszym nadrobieniu. Jeśli chcecie poznać zawartość tych seriali bez oglądania ich, a jednocześnie świetnie się bawić to odsyłam do kanału YouTube „Drwał Rębajło” – rewelacyjne omówienie faceta będącego nie tylko doświadczonym fanem gatunku – czytelnikiem, widzem i graczem,

ale także znawcą literatury w ogóle i doskonałym mówcą, który opowiada to wszystko z wyobraźnią i właściwym sobie poczuciem humoru.

Skupię się zaledwie na kilku sprawach, które w mojej ocenie dyskwalifikują te „ekranizacje”, równocześnie wykluczając przypadkowość takiego obrotu spraw. Zacznę od tego, że te seriale nie tylko mają niewiele (a nawet nic) wspólnego z materiałem źródłowym, ale są zwyczajnie słabe nawet, gdybyśmy mieli je rozpatrywać w oderwaniu od tegoż. Ciekawostką jest fakt, że w przypadku „Pierścieni Władzy” właściwie skazani jesteśmy na takie podejście do tematu. Dlaczego? Otóż Amazon za rzeczony wcześniej ćwierć miliarda dolarów kupił prawa do „Władcy Pierścieni”, czyli trylogii na osi czasu umieszczonej w Trzeciej Erze Śródziemia. Fajnie? No tak – to najpopularniejsze z dzieł genialnego Anglika, więc w czym tkwi szkopuł i czego się znowu te nerdy czepiają? Ano tego, że wchodząc w posiadanie praw do Władcy... twórcy serialu za kasę od Bezosa postanowili nakręcić wydarzenia opowiadające o okolicznościach powstania pierścieni władzy, czyli historii zawartej głównie w Silmarilion oraz w Niedokończonych opowieściach. Dzieje się to w Drugiej Erze Śródziemia do, której to Amazon nie wykupił praw!

Przymierzając, to trochę tak, jakby Jerzy Hoffman wykupił prawa do „Pana Wołodyjowskiego” i w związku z tym postanowił nakręcić „Ogniem i mieczem”. Właściwie to nawet bardziej „Krzyżaków”, bo przecież „to samo uniwersum” – Polska, wspólna historia i w sumie przecież wydarzenia z „Pana Wołodyjowskiego” to wynikały trochę z tych w „Krzyżakach”! Do tego twórcy w roli Juranda obsadziliby murzyna, Bitwa pod Grunwaldem odbyła się pod Jasną Górą z Rusinami, którymi dowodziłaby skośnooka kobieta, a na krytykę szołtraner powiedziałyby: staraliśmy się trzymać jak najbliżej tekstu źródłowego. Dzięki scenarzystom stworzyliśmy historię w oparciu o literaturę Henryka Sienkiewicza, ale taką której autor nie napisał, bo zwyczajnie nie zdążył. Za to teraz film

oddaje współczesne problemy i każdy może znaleźć postać, z którą się identyfikuje. Podkreślić też chcemy, że finansowa porażka filmu wynika z tego, że fani Sienkiewicza to rasiści, homofoby i nienawidzą kobiet. Czy to mógł być przypadek? Omyłkowo wydali 250 mln dolarów na coś, czego nie chcieli nakręcić, albo zapomnieli dokupić praw do Silmarillion?

Następna kwestia to dosłowne wypaczenie i ukazanie wspaniałości dosłownie wszystkiego, i to się tyczy obydwu produkcji. „Wiedźmin” Sapkowskiego nie ma nawet ćwierci tolkienowskiego rozmachu i polotu w kreacji świata. Silną stroną tej literatury są postacie, które poznajemy stopniowo, są złożone, mają swoje charaktery, historie, problemy i motywy działania. Tytułowy wiedźmin Gerald to naprawdę doskonale napisany bohater – ma swoje rozterki, żyje w konflikcie ze światem, a czytelnik stopniowo wszystkiego się o nim dowiaduje. Co jednak najważniejsze – stanowi on oś, wokół której kręci się cała fabuła. Jest zdecydowanie najważniejszą postacią, która spina wszystkie części sagi. Jest wielowarstwowy, złożony, ma trudny charakter, ale jest też wierny przyjaciołom i dobry. Zręczliwy i oschły, a równocześnie targany uczuciami.

W netflixowym serialu jest po prostu rębajłą, maszyną do zabijania. Z każdym, kolejnym odcinkiem dochodziło do mnie, że mając tak wspaniale napisaną postać, rewelacyjnie grającego Henry’ego Cavilla, który przy okazji jest nerdem (tak Cavill jest fanem wiedźmina i fantasy w ogóle), twórcy zrobili z niego właściwie postać drugoplanową. W drugim sezonie pomyślałem sobie nawet, że gdyby ten Gerald nagle zniknął, to w sumie prawie żadna strata dla fabuły, która niemal w każdej warstwie tworzy istne pomieszanie z poplątaniem. I co? Znowu „tak jakoś wyszło niezręcznie”?

Postaci kobiece w omawianych produkcjach to już jest naprawdę apogeum niedorzeczności! Tutaj twórcy zdają się ze sobą rywalizować w kategorii: najgłupszy scenariusz. Ci, którzy napisali postacie Galadrieli z „Pierścieni władzy” oraz Ciri i Yennefer z „Wiedźmina”, to prawdziwi geniusze zbrodni.

Wyobrażam sobie ich jako takich „filmowych, złych, garbatych naukowców” siedzących podczas burzy w swoich laboratoriach i piszących scenariusze: a teraz niech Galadriela wyskoczy ze statku do oceanu i popłynie wpław! Nie wiadomo dokąd! Buahahahaha! (błyskawica i grzmot za oknem).

Przepraszam, ale tego naprawdę nie da się komentować poważnie. Yennefer w książce była zmysłową, zgrabną kobietą w średnim wieku, o lawendowych oczach i jasnej skórze. Autor obdarzył ją niezwykłą inteligencją, mocnym charakterem, ciętym dowcipem i seksapilem. Jej dialogi z Geroldem są po prostu rewelacyjne – błyskotliwe, pełne podtekstów i nade wszystko inteligentne. Yennefer w serialu jest grana przez śniadą kobietę o aparycji nastolatki. Mało mówi, kiedy już to robi, to ręce opadają i w każdej scenie ma płacz na końcu nosa. Poza tym, jest zwyczajnie głupia.

Galadriela u Tolkiena jest ucieleśnieniem majestatu elfiej królowej – mądra, dostojna, charyzmatyczna i olśniewająco piękna (u Jacksona genialna kreacja Cate Blanchett). Kiedy ktoś mnie pyta o silne, kobiece postaci w literaturze, Galadriela nasuwa mi się jako jedna z pierwszych. Co mamy w serialu Amazona? Silną postać kobiecą, a jakże – jest silna ponieważ wymachuje mieczem większym od siebie, paraduje w zbroi płytowej, dowodzi szarżami i jednym machnięciem klingi kładzie ogromnego trola. Poza tym jest roszczeniowa, irytująca, złośliwa, mściwa i głupia – mój Boże, jaka ona jest głupia w tym serialu... Stanowi absolutne zaprzeczenie wszystkiego, czym są bohaterowie Tolkiena.

Jej głównym motywem działania twórcy uczynili zemstę, której dokonuje kolejnymi aktami bezmyślnej przemocy, przeplatanej debilnymi kwestiami, ewentualnie zostawiając swoich towarzyszy na pewną śmierć. W połowie serialu zacząłem kibicować głównemu antagoniście – dowódcy orków, którego twórcy obdarzyli charyzmą, empatią i chęcią poprawienia losu swojego ludu w ramach motywacji działania.

Wywrócenie Tolkiena do góry nogami

To jest kompletne wywrócenie Tolkiena, który, jak już wcześniej napisałem, bardzo dbał o to, by w Jego literaturze kwestia wartości był zrozumiała nawet dla dzieci, które bez problemu rozróżnią bohaterów na dobrych i złych. Serialowa Galadriela jest tak irytującym wypaczeniem książkowej, że dosłownie pomyślałem sobie: niech ktoś ją zabije! Skoro i tak już mają gdzieś literaturę Tolkiena, to może ją uśmiercać? Niestety męczymy się z nią do ostatniego odcinka, który stanowi osobną podkategorię kretynizmu i zbrodni na JRR Tolkienie. Znowu – czy to możliwe, że to wynik nieudolności i przypadku? Mówimy o bodaj najdroższej (lub jednej z najdroższych) produkcji w historii kina w ogóle – serial Amazona kosztował bowiem 750 mln dolarów! Naprawdę uznajemy, że Jeff Bezos wtopił takie pieniądze, po czym wszyscy powiedzieli: no tak jakoś wyszło? Nie sądzę.

Netflixowy „Wiedźmin” okazał się lekko mówiąc niewypałem, a też miał spory budżet. Całość tego potworka ratował naprawdę wspaniały Henry Cavill i wiecie Państwo co?? Po zakończeniu zdjęć do trzeciego sezonu, którego premiera już w tym roku, aktor ogłosił, że rezygnuje z dalszego grania „Wiedźmina” i w czwartym sezonie już się nie pojawi. Oficjalnie podał oczywiście jakieś formalne przyczyny, wiadomo jednak, że od dłuższego czasu był w konflikcie z twórcami, ponieważ jako fan książek i gry zwyczajnie czuł, że bierze udział w czymś strasznie słabym.

Oczywiście szołtranerka, tak jak jej koledzy z Amazona, również nieubłagalnym palcem wskazała winnych – fanów – rasistów, homofobów, mizoginów, itd. Jedna ze scenarzystek nawet popełniła wpis, gdzie samego Cavilla obarcza winą za niepowodzenia serialu. Podobno „nieustannie wtrącał się i forsował swoje zmiany w scenariuszu, a – jakby tego było mało – kobietom na planie fatalnie się z nim pracowało”. Sami Państwo rozumiecie, że to już są poważne oskarżenia!

Stwierdzono, że w sumie zmiana aktora może być pozytywnym, nowym otwarciem dla serialu, którego oczywiście twórcy nadal, a nawet jeszcze bardziej będą się teraz trzymać tekstu źródłowego.

Proszę Państwa, ja nie żartuję – całość „zakulisowych afer” również świetnie omawia u siebie Drwal Rębajło, podając źródła do wywiadów, a nawet wklejając do swoich materiałów ich fragmenty. Mimo tak spektakularnych porażek, Netflix nie tylko decyduje się kontynuować serię pod zarządem pani Hissrich, ale wypuszcza jeszcze kolejnego potworka z „uniwersum Wiedźmina” czyli „Blood Origin”. Stery tej produkcji dają jednemu ze scenarzystów „Wiedźmina” Declanowi De Barra i (a jakże, nie inaczej) Lauren S. Hissrich!

Ja tego jeszcze nie oglądałem, ale już widzę po zwiastunach pewną konsekwencję, która mi się podoba. Podobnie jak w „Wiedźminie” krasnoludów grają tu karły! (tak, karły/lilipuci, jak się kiedyś mawiało). To jest po prostu majstersztyk. Dałbym wiele, by być świadkiem tej burzy mózgów:

– Dobra, słuchajcie, mamy już silne kobiety, kolorowe kobiety, przebiegłych kolorowych mężczyzn, durnych, białych facetów, wątek LGBTXYZ też jest... Mało coś kurka wodna...

– No tak, ale w komiksie, czy tam książce, nieważne, były przecież krasnoludy!

– Tak, no i...?

– Krasnoludy, czyli tacy mali ludzie, takie karły!

– Karły! To jest genialne!!! Tylko warunek – najważniejszy krasnolud musi być kobietą – karlicą. To będzie krasnoludkini!

Sami widzicie, że to wszystko nie może być dziełem przypadku. Po co zatem zdecydowano się tak bardzo wywrócić te kultowe dzieła fantastyki? Po co im ta wojna? Tworzymy nowego widza-konsumenta!

Autorstwo: Bartosz Iwicki

Źródło: MyslPolska.info